

s. dr Celina Tendaj SłNSJ

CZY I JAK PROPAGOWAĆ DZIŚ DUCHOWOŚĆ WYNAGRODZENIA SERCU JEZUSA W KONTEKŚCIE NAUCZANIA ŚW. BP. JÓZEFA SEBASTIANA PELCZARA

W trakcie poprzednich wykładów zapoznaliśmy się z wieloma osobami, którym bliska była idea wynagrodzenia. Zostałam zaproszona, by przedstawić, jak ów rys kultu Najświętszego Serca Pana Jezusa był obecny w nauczaniu gorliwego promotora tegoż nabożeństwa, św. Józefa Sebastiana Pelczara.

Nie wchodząc w szczegóły biograficzne, przypomnę tylko, że św. Józef Sebastian Pelczar urodził się 17 stycznia 1842 roku w podkarpackim miasteczku Korczyna k. Krosna. Rodzice, widząc nieprzeciętne zdolności syna, po dwóch latach nauki w korczyńskiej szkole ludowej posłali go do Rzeszowa, do szkoły głównej, a następnie do gimnazjum. Po ukończeniu szóstej klasy wstąpił do niższego seminarium, zaś w 1860 roku rozpoczął studia teologiczne w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu.

Po przyjęciu święceń kapłańskich przez półtora roku św. Józef Sebastian pracował jako wikariusz

w Samborze. Skierowany do Rzymu, studiował jednocześnie na dwóch rzymskich uczelniach: w Collegium Romanum i w Instytucie św. Apolinarego.

Wkrótce po powrocie do kraju podjął obowiązki wykładowcy w seminarium przemyskim, a następnie – przez 22 lata – pracował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jako profesor i dziekan Wydziału Teologicznego zyskał sobie sławę człowieka światłego, znakomitego organizatora i przyjaciela młodzieży, człowieka o otwartym sercu, ofiarnie oddającego się działalności społecznej i charytatywnej.

W 1899 roku został mianowany biskupem pomocniczym, a w rok później – ordynariuszem diecezji przemyskiej. Przez dwadzieścia pięć lat swej posługi biskupiej dał się poznać jako gorliwy pasterz, zatroskany o dobro powierzonych mu dusz.

Pomimo słabego stanu zdrowia bp Pelczar nieustrudzenie angażował się w prace religijno-społeczne. W celu zachęcenia wiernych do ożywienia w sobie ducha wiary przeprowadzał częste wizytacje parafii, dbał o wysoki poziom moralny i umysłowy duchowieństwa, a zarazem sam dawał przykład głębokiej pobożności.

Jak to już zostało na wstępie wspomniane, jednym z głównych rysów jego duchowości był – obok kultu Najświętszego Sakramentu i Matki Bożej – kult Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Co ciekawe, z nabożeństwem tym zetknął się on bliżej już jako dorosły człowiek, kapłan i wykładowca w seminarium przemyskim. Może to niektórych dziwić, ale należy pamiętać, że na ziemiach polskich omawiane nabożeństwo na początku XIX wieku dosyć

mocno przygasło z racji kasaty jezuitów, którzy byli jego głównymi promotorami, a także na skutek reform józefińskich. Odrodzenie nastąpiło w drugiej połowie XIX wieku w związku rozciągnięciem na cały świat święta Serca Jezusowego oraz z dwusetną rocznicą objawień danych Małgorzacie Marii Alacoque. I właśnie to ostatnie wydarzenie było kluczowym dla osobistej duchowości św. J. S. Pelczara, który w swej autobiografii zaznacza: „16 czerwca 1875 roku, jako w dwusetną rocznicę objawienia się Serca Jezusowego (...), odprawione zostało uroczyste nabożeństwo, na którym wypowiedziałem kazanie. Odtąd spotęgowała się w duszy mojej cześć i miłość ku Boskiemu Sercu”¹.

W pozostawionych przez niego rozważaniach na temat istoty kultu Najświętszego Serca przebija przekonanie, iż polega ono nie tyle na określonych praktykach pobożnych czy pięknych słowach, ile na kształtowaniu swego serca na wzór Serca Jezusa. Nie dziwi zatem, że – szukając w jego pisarskiej spuściźnie odniesień do tematu wynagrodzenia – napotykamy je m.in. w serii medytacji nt. naśladowania Serca Jezusowego, zawartych w *Rozmyślaniach o życiu zakonnym* (Kraków 1910, s. 507), w rozmyślaniu zatytułowanym *Naśladowanie Serca Jezusowego we wspaniałości myśli i cierności*. To bardzo obiecujące ujęcie, gdyż sugeruje pogłębione przedstawienie tematu wynagrodzenia w kluczu włączenia się w wynagrodzenie, które Jezus Chrystus składa za nas Ojcu. Tu jednak spotyka nas rozczarowanie. W przeciwieństwie bowiem do innych medytacji omawianej serii – po wstępnym rozważaniu, poświęconym wielkości mi-

łości Syna Bożego do ludzi, miłości, która kazała Mu unieść się aż do śmierci na krzyżu i pozostać w postaciach sakramentalnych, napotykamy – wbrew temu, co sugeruje tytuł – nie pytanie o to, jak tę miłość naśladować, lecz „Czegóż za to żąda od nas Serce Jezusowe?”. Odpowiedź, jaka pada po tym pytaniu, jest następująca: „by rozważać często, co Pan dla każdego z nas uczynił”, by odwzajemniać Bożą miłość przez udział w Eucharystii, przez modlitwę i ofiary, wreszcie – by „wynagradzać liczne niestety zniewagi, jakie od ludzi złych, zwłaszcza w sakramencie miłości ponosi i tę niewdzięczność, jaką często od sług swoich doznaje, zdobywając się często na adorację i Komunię wynagradzającą”.

„Czegóż za to żąda od nas Serce Jezusowe?” – jest to bardzo ciekawe pytanie, jeśli zważy się na to, że sam Pelczar, w cytowanych *Rozmyślaniach*, zaledwie pięć stron dalej pisze, co następuje: „[Pan Jezus umiłował nas] miłością najczystsza i bezinteresowną, bo nie dla swojej korzyści, pociechy lub chwały, nie z przyczyn naszych zalet ducha lub ciała nas umiłował, ale dlatego, że On jest miłością i przez tę miłość pragnie wielbić Ojca i nas uszczęśliwić” (*tamże*, s. 512).

Jeżeli bowiem prawdą jest to, co znajdujemy w powyższym cytacie (a wierzę głęboko, że tak właśnie jest), że Jezus darzy nas miłością, bo wie, że tej miłości potrzebujemy, bo chce nas uszczęśliwić, jeżeli ta miłość jest bezinteresowna, to chyba nie do końca jest tak, że za tę miłość czegoś od nas dla siebie „żąda”².

Zostawiając jednak na później zarysowany tu problem, niech mi wolno zatrzymać się przy samym Pelczarze i przyjrzeć się temu, co jeszcze pisze on na

temat wynagrodzenia, szczególnie w swym sztandarowym tekście, poświęconym kultowi Bożego Serca, a mianowicie w wydanej u schyłku życia świętego biskupa książeczce zatytułowanej *Nabożeństwo do Najśw. Serca Jezusowego według objawień danych św. Małgorzacie Marii* (Przemyśl 1921).

Już sam tytuł owej pozycji sugeruje, że treści w niej zawarte czerpią swoją inspirację z prywatnych objawień, danych św. Małgorzacie Marii Alacoque, nawet jeżeli znajdujemy w niej próbę powiązania kultu Bożego Serca z tradycją biblijną. Jest to widocznie właśnie w zawartych w rzeczonej pozycji rozważaniach na temat ludzkiej niewdzięczności, szczególnie w odniesieniu do Przenajświętszej Tajemnicy Ołtarza: „Patrz, jakie straszne zniewagi ponosiło i ponosi Boskie Serce w tej Tajemnicy, i to nie tylko od pogan, Żydów, heretyków, ale także złych katolików. Nie mówimy tu o niedowiarkach, bluźniących i złoścących, ale iluż to pośród samych wierzących zaniedbuje Mszę Świętą w niedzielę albo jej słucha bez uwagi i uszanowania. Iluż to całymi miesiącami lub tygodniami zapomina o Panu utajonym, a gdy czasem przyjdą przed Jego przybytek, stoją tam bez myśli, bez uczucia albo nawet z myślami i uczuciami ziemskimi, niskimi, niegodnymi. Iluż to, zwłaszcza po miastach, opuszcza Komunię Świętą wielkanocną albo przyjmuje Pana oziębłe, czasem nawet świętokradzko. Toż nie dziw, że z głębi przybytków sakramentalnych słyszać nieraz skargę: „Dokąd będę z wami?, Dokąd cierpieć was będę?” (s. 305-306).

Wychodząc od tego obrazu ludzkiej niewdzięczności, Pelczar, za przykładem świętej z Burgundii, za-

chęca, by starać się odpowiedzieć miłością na miłość, a przez to – niejako w zastępstwie za grzeszników – wynagradzać Zbawicielowi krzywdy i zniewagi, jakie od nich ponosi (por. s. 307). A choć istotę tego wynagrodzenia, przynajmniej w warstwie deklaratywnej, Pelczar widzi nie w samych praktykach czy uczuciowych porywach, lecz w decyzjach woli, czyli intencji wzbudzanej przy okazji praktyk pobożnych, mających na celu wynagrodzenie (por. s. 313), wiele miejsca poświęca też konkretnym formom ekspiacji, takim jak Msza Święta, adoracja oraz Komunia wynagradzająca.

I tak, mówiąc o Mszy wynagradzającej, święty biskup zachęca do wzbudzania intencjonalnych aktów pobożności, takich jak dziękczynienie za miłość Jezusową i pragnienie ofiarowania siebie pod opiekę Bożego Serca oraz wynagrodzenia za zniewagi, „na jakie Go miłość naraziła” (por. 224-226). Chyba najbardziej zaskakującym dzisiejszego czytelnika i niespójnym teologicznie (za to dość typowym dla piśmiennictwa tego okresu) jest zdanie, zachęcające do ofiarowania Jezusowi wszystkich ofiar Mszy Świętych dla prześlania Jego sprawiedliwości (s. 226).

Z kolei sensem przyjmowania Komunii wynagradzającej jest zadośćuczynienie za „Komunie niegodne i świętokradzkie, jakimi chrześcijanie źli Boskie Serce zasmucają” (s. 239).

Dopiero w kontekście adoracji eucharystycznej – paradoksalnie tu, a nie w bezpośrednim kontekście Mszy Świętej – pojawia się u Pelczara na próżno szukany wcześniej wątek włączenia się w Jezusowe dzieło wynagrodzenia. I tak, tłumacząc sens euchary-

stycznej adoracji wynagradzającej, radzi on czytelnikowi co następuje: „Oto, według św. Małgorzaty Marii [należy] ofiarować najprzód Ojcu Niebieskiemu Krew przenajświętszą, wylaną na krzyżu za grzechy świata, prosząc o nawrócenie grzeszników; po wtóre – ofiarować Ojcu Niebieskiemu płomień Najświętszego Serca Jezusowego, by zadość uczynić za oziębłość i niewdzięczność ludu wybranego tj. chrześcijan, prosząc o rozgrzanie serc zimnych miłością; po trzecie – ofiarować Ojcu Niebieskiemu posłuszeństwo, z jakim Zbawiciel poddał się Jego woli, błagając o uległość dusz sprawiedliwych dla łask i natchnień Bożych” (s. 233).

Obserwowane zamieszanie pojęciowe – obecne często w kontekście omawianego tematu w literaturze pobożnościowej przełomu XIX i XX wieku dopełnia przytoczone przez bp. Pelczara zdanie papieża Leona XIII, w którym wskazuje on, że sensem ekspiacji jest – poprzez hołdy uwielbienia i miłości – łagodzenie gniewu Bożego za „tak powszechną wśród ludzi zbrodnię niewdzięczności” (s. 335).

Niedopracowania teologiczne, wyrażające się chociażby brakiem jasności, komu winniśmy wynagrodzenie – Ojcu przez Syna czy samemu Synowi, a może całej Trójcy (brak myślenia trynitarnego jest przy tej okazji aż nazbyt widoczny!), czy też sztucznym rozdzielaniem sprawiedliwości i miłości Bożej, to niestety nie jedyne zarzuty, które można postawić Pelczarowskiemu rozważaniom na temat wynagrodzenia. Wydaje się jednak – choć żeby móc to stwierdzić z całą pewnością, należałoby dokonać pogłębionej

analizy stosownej literatury przełomu XIX i XX wieku – że trudno tu mówić o mankamentach typowych dla pisarstwa Pelczara – zwłaszcza, że temat ekspiacji jest w jego spuściźnie jednak marginalny (szczególnie, gdy weźmiemy ją całościowo), a jako taki oddaje raczej czytane przez Pelczara publikacje (szczególnie odnoszące się do objawień z Paray-le-Monial), niż jego osobiste przemyślenia.

Sądzę zresztą, że tu leży też jedno ze źródeł niemal całkowitego odejścia od używania retoryki ekspiacyjnej w dzisiejszym przepowiadaniu i teologii. Podkreślam – jedno ze źródeł, gdyż nie można pominąć o wiele głębszych problemów, związanych z promowaniem idei wynagrodzenia, zainspirowanej objawieniami otrzymanymi przez św. Małgorzatę Marię Alacoque.

Jakie to problemy?

Nie chodzi tu bynajmniej o stawiany zazwyczaj przy tej okazji zarzut sentymentalizmu typowego dla duchowości kobiecej czy dla epoki romantyzmu. Pierwszy, nasuwający się przy okazji tematu ekspiacji, problem jest znacznie poważniejszy. Wydaje się bowiem, że posługiwanie się retoryką wynagrodzenia i pocieszanie Jezusa może (w nie do końca uświadomiony sposób) generować, a przynajmniej łączyć się ze zniekształconym obrazem Chrystusa Pana przez sprowadzanie bogactw Jego Serca do uczucia rozczarowania niewdzięcznością ludzi i goryczy z powodu nieodwzajemnionej miłości. W ten sposób – paradoksalnie – konsekwencją najlepszych intencji „pocieszania” Jezusa staje się wykreowanie karykaturalnego –

neurotycznego obrazu Tego, który sam jest Miłością, który sam jest najlepszym Parakletem – Pocieszycielem i obrońcą³.

Proszę zauważyć – który dojrzały rodzic, dostrzegając u dziecka brak umiejętności kochania, bunt wobec kochających opiekunów i odepchnięcie ich miłości, nie będzie raczej bolał nad owym dzieckiem, które (zwiedzone jakąś pokusą) zamknąwszy się na miłość, naraża się na przegranie własnego życia i odcina się od życia pełnego i szczęśliwego – a nie nad własną krzywdą? Dojrzała miłość jest bowiem progezystencją, byciem „dla...”, a nie skupianiem się na sobie. Z kolei rozpamiętywanie własnych krzywd, poczucie bycia niedocenianym, niekochanym jest typowe dla osobowości neurotycznych, niedojrzałych. Czy więc naprawdę możemy, bez obawy bluźnierstwa, myśleć, że Jezus Chrystus domaga się od nas nieustannego „pocieszania”?

Innym paradoksem, związanym ideą „wynagradzania za grzeszników”, jest nigdzie niewypowiedziane wprost, ale podskórnie wyczuwane przekonanie, że grzech jest czymś atrakcyjnym, ale ponieważ jest niezgodny w wolą Bożą, „rani” Jego Serce. Tymczasem grzech nie jest atrakcyjny! Grzesznik, lekceważąc Boga, nie wybiera czegoś atrakcyjnego, lecz śmierć! (Choć często ładnie opakowaną). Grzech rani Boga tylko w tym sensie, że rani samego grzesznika, czyli Boże dziecko, w które złość grzechu jest wymierzona.

Innym aspektem sprawy, mocno powiązanym z tym, co właśnie powiedziałam, jest bardzo cienko zarysowana granica pomiędzy wynagrodzeniem za grzechy innych – tych „złych”, a faryzejskim poczu-

ciem, że wynagradzający należy do tych „lepszyc”, „mniej grzesznych” czy wręcz „sprawiedliwych”. Niebezpieczeństwa duchowe, związane z taką postawą są aż nadto oczywiste...

Kolejnym problemem, rodzącym się przy tej okazji, jest często pojawiająca się w tym kontekście anzelmiańska (w swej strywalizowanej formie) koncepcja zbawienia jako prześlągania Ojca, obrażonego grzechami ludzkimi przez przyjęcie przez Syna nieskończonej kary. Ten, typowy dla duchowego klimatu Francji czasów św. Małgorzaty Marii, sposób rozumienia sprawiedliwości Bożej, może rodzić – i nie jest to tajemnicą, że wielokrotnie w historii Kościoła rodził – przekonanie o odkupieńczej wartości cierpienia jako takiego, prowadzące aż do poszukiwania tegoż tak gorliwego, że zmierzającego do zachowań na pograniczu masochizmu – dziś skutecznie zniechęcających nam współczesnych do kultu Najświętszego Serca Pana Jezusa. Dodatkowo, w ujęciu tym mamy do czynienia ze swoistym przeniesieniem ról – oto cierpiący Wynagrodziciel, oczekuje na docenienie wynagrodzenia za tych, którzy docenić tego nie potrafią (nawet jeżeli pomimo szczerego pragnienia nigdy egzystencjalnie nie doświadczyli Bożej miłości, a prawda o niej jest dla nich tylko teorią) – a wszystko to, przy formalnym uznaniu bezinteresowności miłości Bożej.

Wbrew temu, co się może wydawać, nie jest moim celem zaprzeczenie samej idei wynagrodzenia. Pokazuję jedynie trudności, które nie tylko są realne, ale mogą wywrzeć znaczący wpływ na recepcję kultu Bożego Serca w dzisiejszych czasach.

Czy jednak, oprócz krytyki, mam coś do zaofiarowania?

Tak – chciałabym tu zaproponować dwie myśli.

Po pierwsze – próbę alternatywnej odpowiedzi na postawione przez Pelczara pytanie: „Czegóż za to żąda od nas Serce Jezusowe?”.

Myślę, że kto choć raz w swoim życiu prawdziwie kochał, nie ma wątpliwości, że jeżeli Bóg jest miłością, jeżeli Serce Jezusa jest gorejącym ogniskiem miłości, to pragnie przede wszystkim jednego – abyśmy dali się kochać, abyśmy tę Jego miłość przyjęli. W tym sensie nasze „wynagradzające” adoracje, Msze i Komunie Święte będą prawdziwą „pociechą” dla Serca Jezusa, gdy będą znakiem przyjęcia Jego miłości, gdy pozwolimy Mu działać w naszym życiu i przemieniać je.

Druga sprawa to pytanie, czy Bóg cierpi? Czy uwielbiony, zmartwychwstały Chrystus cierpi i trzeba koić Jego ból? Czy cierpi, bo jest niekochany, zapomniany? Tak, ale inaczej, niż chce XIX-wieczna pobożność ludowa, martwiąca się o stan ducha Jezusa osamotnionego w tabernakulach naszych kościołów. Wróćmy do Ewangelii – czytamy – Jezus cierpi, jest osamotniony, Jego Serce jest ciągle ranione w chorobach, których nie stać nie tylko na najnowsze zdobycze medycyny, ale na najbardziej podstawowe leki, w umierających z samotności, w wykorzystywanych dzieciach, w ofiarach handlu ludźmi, lekceważonych starcach, marginalizowanych biedakach – w nich wszystkich potrzebuje też naszego czasu, obecności, słowa wsparcia i pociechy, wreszcie – czynnego zaangażowania się w przemianę oblicza Ziemi, w budowanie Jego królestwa miłości i prawdy, spra-

wiedliwości i pokoju. Nie chodzi tu jednak o czczy aktywizm, ale o szukanie oblicza Bożego na twarzach tych wszystkich, którzy nigdy nie doświadczyli prawdy o swojej godności, gdyż prawdę tę może odkryć tylko ten, kto egzystencjalnie doświadczył wielkiej miłości Bożej. Co ciekawe, będziemy zdolni do tego tylko wtedy, gdy pozwolimy przemienić własne serce na wzór Serca Zbawiciela.

Przypisy

¹ Por. C. Niezgoda, *Wierny ideałom*, Kraków 1988, s. 257-261.

² Nie jest moim celem skupianie się na samym słowie „żąda” – problem bowiem pozostaje także wtedy, gdy posłużymy się pojęciem „pragnie” lub „oczekuje”.

³ „Bóg – osobowa Prawda i Miłość – zechciał cierpieć dla nas i z nami. Bernard z Clairvaux ukuł wspaniałe powiedzenie: *Impassibilis est Deus, sed non impassibilis* – Bóg nie może cierpieć, ale może współcierpieć. Człowiek jest dla Boga tak bardzo cenny, że On sam stał się człowiekiem, aby móc współcierpieć z człowiekiem, w sposób rzeczywisty, w ciele i krwi, jak to nam przedstawia opis Męki Jezusa. Stąd w każde cierpienie ludzkie wszedł Ktoś, kto je z nami dzieli i znosi; stąd w każdym cierpieniu jest odtąd obecne *con-solatio*, pocieszenie przez współcierpiącą miłość Boga, i tak wschodzi gwiazda nadziei”. Benedykt XVI, *Spe salvi*, 39.